ROK CZWARTY.

—

№ 31.

WARSZAWA

D. 19 (31) lipca

1859.

Niedziela

7ma po Swiątkach.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15, Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jednoz pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, którego Opatrzność w swojem rozporządzeniu nigdy się nie omyla, najpokorniéj błagamy Cię, iżbyś wszelkie szkodliwe rzeczy od nas oddalił, a pożytecznych udzielić raczył. (Kollekta na Niedzielę 7mą po Swiątkach).

Powinszowanie domowników

W dniu imienin ich pana.

Starszy z gromady.

Otom ja wybran za posła,
Bym w dniu pańskiego imienia,
Według każdego rzemiosła
Sług twoich wyznał życzenia.

—

Oto kowal pierwszy stanie,
Życząc dobitnie z łoskotem,
Abyś nie był nigdy panie!
Między kowadłem a młotem.

—

Stolarz, co tu stoi zboku,
Hebel z winklem mając w ręku,
Życzy, abyś w żadnym kroku
Nie napotkał nigdy *sęku.*

—

Pilarz na pile oparty,
Czemużby ci nie winszował?
Pragnie, by nawet na żarty
Nikt ci głowy nie piłował.

—

Przyjm Jakóba i Michałka,
Kucharzy twoich życzenia:
Abyś *twardego kawałka*
Nie miał nigdy do zgryzienia.

—

Myśliwy wróciwszy z boju
U nóg twoich zdobycz ściele,
Pragnąc, by nawet w pokoju
Trafnemi były twe cele.

—

Niech snycerzy i tokarzy
Zwiastuje ci głos proroczy,
Że co bądź się w życiu zdarzy,
Dobra się sprawa *wytoczy.*

—

Przyjm piwowara szumnego,
I on śmie życzenia marzyć,
Chce on, by panu prócz niego
Nie śmiał nikt piwa nawarzyć.

—

Z dobrem życzeniem strycharze
Składają modły sowicie,
Też same co i gońciarze,
Byś zawsze bywał na szczycie!

—

Introligator z kolei
Życzy, niech się wszystko klei,
Krawców, szewców cztery pary
Życzą ci szczęścia bez miary.

—

Nakoniec tkacze i prządki
Łączą głosy do ostatka,
Niechaj osnowa i wątki
Zawsze ci *idą jak z płatka.*

—

Tego zaś, co malarz kréśli,
Pragniemy wszyscy ogólnie,
Mamy to w sercu i w myśli:
Niech żyje!.. wołamy wspólnie.

Wychowaniec.

—

W jednem miasteczku podlaskiem przed trzydziestu laty mieszkał szewc Wawrzyniec Golik, zły pod każdym względem człowiek, bo za liche pieniądze, lichy wykupywał w miasteczku towar, szył z niego buty, trzewiki, rozwoził je po jarmarkach i niesumiennie oszukiwał ubogich chłopków, którzy znojem ciężkiej pracy grosz zarobiony płacili mu za obuwie, złorzecząc później oszustowi. Ale niecnik Boga nie mając w sercu, dalej broił, a co gorsza uczył fuszerki czeladź i syna Szymka, który przy ojcu terminował. Pamiętny też mieszkańcom owego miasteczka, do tej pory; złego człowieka dotąd tam nazywają *majster Golik,* i każdy, kto miłuje dobre imię, lęka się tego miana, w takiej tam ohydzie wspomnienie oszusta; bo jak pamięć poczciwych przechodzi do potomności, tak i tych, co zapomniawszy o Bogu, chodzą drogami nieprawemi.

Żona Golika także była niedobra kobieta; chciwa, a kto chciwy, musi się dopuszczać złych sprawek koniecznie. Otóż ona na swój manier źle broiła: oszukiwała na mleku, dolewając weń wody, na miarze, przedając kartofle lub ziarno jakie, a co wstyd powiedzieć, umiała i cudzą własność przywłaszczyć sobie. I tak sąsiedzka kura, byle weszła na jej dziedziniec, właściciel jej więcej nie zobaczył, jakby ziemia się pod nią rozstąpiła; przepadła bez wieści, bo ją Golikowa przedała. Umiała nawet pani majstrowa po nocach zakradać się do cudzych ogrodów, zręcznie podbierać młode kartofle i przedawać je potem za własne na targach; a niechnoby jej kto kradzież zarzucić się poważył, piekło poruszyła. To też każdy ją zdaleka omijał i wyrzekał się własności, byle nie mieć z potępioną do czynienia. Ale co najgorsza, że do podobnych sprawek bezbożna matka wciągała własnego syna Szymka.

— Idźno, rzekła mu raz, przynieś co suchego na ogień.

— A zkądże wezmę, odpowiedział jej chłopiec, kiedy w drwalce nie ma nic suchego?

— Głupiś, krzyknęła nań, a u sąsiada niema gontów w stajence, co? wsadź rękę przez szparę w ścianie, to ich nawyciągasz.

— Ja tam kraść nie będę, odpowiedział jej z gruntu niezły chłopak, sąsiad kupił gonty na pokrycie dachu, a nie żeby mu je palić; niech sobie matula idzie sama, bo ja nie pójdę.

— Nie pójdziesz łotrze, krzyczała Golikowa, to ja cię tu zaraz nauczę posłuszeństwa. I gdy się do bicia zabierała, wziąwszy pociegiel, chłopiec rad nie rad poszedł po gonty, i odtąd Szymek nie wzbraniał się wypełniać rozkazów matczynych. Umiał niebawem po nocach zręcznie rozbierać cudze płoty, gdy drzewa matce zabrakło, latem zakradać do sąsiedzkich ogrodów, kraść z nich owoce, warzywo, łowić zręcznie kury, nawet miód z ulów podbierać, by go potem matka na targu przedawała, i gdy Szymek z nocnej wycieczki powracał ze zdobyczą, potępiona kobieta głaszcząc go po twarzy, mawiała:

— Zuch z ciebie chłopak!

Ależ niedługo broili tak niedobrzy ludzie, bo raz gdy za szkodę zrobioną przez trzodę sąsiedzką w ogrodzie Golików począł się Wawrzyniec z sąsiadami procesować i przysiągł krzywo na większą stratę, od tej, jaka mu była

w istocie uczynioną, w kilka dni potem, dotknięty palcem Bożym, siadłszy do roboty najzdrowszym, ni ztąd ni zowąd spadł Golik z siedzenia i nagle umarł. Jakie życie, taka śmierć; nikt nie był z mieszkańców na pogrzebie Wawrzyńca, co było najlepszem świadectwem jego życia. Pozostała żona jakoś wkrótce zachorowawszy na gorączkę, poszła niebawem za mężem na straszne sądy Boskie, i takoż do grobu bez życzliwej modlitwy sąsiedzkiej złożoną została.

Myśleli ludzie, że wielkie po Wawrzyńcach zostały pieniądze, bo oboje na grosz łakomi, pracowali gorliwie, nie wybierając sposobów, byle go tylko jak najwięcej zdobyć; ale po ich śmierci nad kilkanaście talarów nic więcej nie znaleziono. Otóż mówić poczęli, że musieli gdzieś pieniądze zakopać, albo rozpożyczyć; ale ani zakopali, ani rozpożyczyli, tylko zły nabytek zmarniał jak zwykle bezużytecznie, bo grosz tylko uczciwą pracą zebrany, bywa kamieniem węgielnym dostatków i dobrego bytu w przyszłości — prawda to nieomylna, stwierdzona od wieków.

Po Golikach zostało dwóch synów: ów Szymek, którego własna matka do zguby przywiodła, trzynasto-letni już chłopiec, i Staś pięcio-letni dzieciak. Nie zostało im nic po rodzicach; stara waląca się chałupa, pogarda ludzka, oto bogactwo w spadku im zostawione. Ale chałupę wkrótce spalił piorun, widno, by ludziom nie przypominała, że są tacy na świecie, co niegodnie żyć się odważają; nikt też na miejscu spalonej budować się nie chciał, w takiej tam ochydzie była pamięć Golików.

Szymka, którego znano złe sprawki, nikt nie chciał przyjąć do terminu. Stasia zaś wzięła na wychowanie miernej fortunki wdowa, wielce poczciwa i pobożna, a której dziatki w niemowlęctwie Bóg zabrał do siebie. Anna Dolska ulitowawszy się poniewierki biednego chłopczyny, postanowiła wychować go; odradzali jej ludzie, mówiąc, że się zgubi, biorąc ze złego gniazda dziecię; na to odpowiadała wdowa:

— Nie stwarza Bóg ludzi złymi moi mili, bo On dobry i doskonały, ale ich robi złe matek wychowanie; mój Stasiek nie zna jeszcze złego i ufam w Bogu, że mi go tak da wychować, iż będą z niego ludzie.

— Daj Boże, odpowiadali na to sąsiedzi z powątpiewaniem.

Szymek mało dbał o czyją opiekę i radził sam sobie, ściągał zręcznie bułki ze straganów, łowił kury i gotował je sobie w polu opodal od miasta; nieraz oćwiczono go porządnie na ratuszu, ale nazajutrz Szymek to samo broił i dopiero gdy go poczęto niedopuszczać do progów domowych, odpędzając od nich jak zapowietrzonego, postanowił się wydalić z miasta i szukać gdzieindziej szczęścia. Ale aby się w cośkolwiek zaopatrzyć na drogę, wiedząc, że z domu pani Dolskiej opiekunki Stasia, która mu nieraz z litości jeść dała i wśród mrozu w zimie przenocowała u siebie, wyjść mają na cały dzień na robotę w pole, zakradł się do sieni niepostrzeżenie, i gdy się wszyscy oddalili, drzwi za sobą zamknąwszy, wytrychem otworzył kufer, gdzie wiedział, że pani Dolska chowa pieniądze, skradł z woreczkiem kilkadziesiąt rubli i wybiwszy okno na ogród, zemknął niepostrzeżony przez nikogo.

Mały łotr wyleciawszy z miasta ze zdobyczą, nie oparł się aż opodal za miastem; wyjął woreczek, odliczył z niego dwadzieścia pięć rubli papierami, a pięć srebrnemi. Zabłysły mu oczy radością, potrząsł workiem z pieniędzmi i zginął w lesie, co poza wrotami w dolinie ciągnął się ciemnym szlakiem.

Niech tam leci mili bracia, odwróćmy oczy od potępionego, pod którego nogami własna matka wykopała przepaść!

Pani Dolska wróciwszy z pola, przeraziła się, zobaczywszy okno wybite od ogrodu i kufer otwarty; miała w nim bowiem cały swój majątek składający się z dwóch tysięcy dwustu złotych. Przejrzawszy kufer, zmartwiła się nieboga stratą trzydziestu rubli, ale odetchnęła, zobaczywszy, iż nie wszystko jej zabrano. Nawykła odnosić wszystko do Boga, i to zmartwienie poczytawszy jako z woli Jego zesłane, uspokoiła się, nie domyślając się, kto byłsprawcą kradzieży.

Ponieważ nieraz mili czytelnicy w powiastce niniejszej napotkacie się z panią Dolską, muszę tu wam o niej słów kilka powiedzieć, a warto posłuchać.

Była ona córką bogatego stolarza z Warszawy, który zebrawszy majątek, roztrwonił

go później na hulanki z przyjaciołmi, włócząc się znimi od rana do wieczora po kawiarniach, bilardach, i właśnie umarł wtedy, gdy prawie ostatni grosz z domu do szynkowni wyniósł. Po śmierci jego żona z córką Anusią zostały bez grosza prawie; trzeba im było wziąć się do ciężkiej pracy, by opędzić nędzę, cisnącą się w progi. Lecz gdy siły matkę opuściły, spadł cały ciężar na Anusię, która najuciążliwszą pracą zaspokajała wszystkie potrzeby staruszki. W tym właśnie czasie oświadczył się o jej rękę stary, lat sześćdziesiąt mający zegarmistrz Dolski, który zebrawszy sobie kilkanaście tysięcy gotówki, żył uczciwie z procentu. Nie zastanawiała się długo Anusia, widząc w tym związku polepszenie bytu swej matki, i poszedłszy za starca, umiała poczciwa kobieta uszanować go jak należało i żyć z nim pochrześciańsku.

— Moja pani, mówiła raz jej sąsiadka, marnujesz życie przy chorowitym starcu, przestań ot kisnąć i przecież użyj z ludźmi dostatków, które stary nazbierał.

— Moja pani, odpowiedziała jej pani Dolska, jakie kobieta bierze na siebie obowiązki, idąc za mąż, takie święcie spełnić powinna. Mąż czy stary, czy młody, jedne ma prawa do miłości i wierności swojej żony; nie na to on mnie brał, abym trwoniła jego dostatki i była mu wrogiem w domu, ale na to, abym mu życie słodziła, pracy jego strzegła, w chorobie dojrzała. Żyjąc tak swobodnie pan Dolski z poczciwą żoną, zachorował i lat sześć potem leżał w łóżku; nieoceniona Anusia jak anioł-stróż strzegła go, pielęgnowała ze szczególną troskliwością, dogadzając wszelkim urojeniom bez szemrania. Przy końcu szóstego roku umarł starzec, błogosławiąc ze łzami poczciwą żonę i dziękując za poniesione trudy. Żałowała go dobra kobieta długo i utulić się we łzach nie mogła. Wdowa przyzwoicie ciało męża pochowała, a gdy wieko zabijać miano, rzuciła się biedaczka na zwłoki, że z trudnością odłączyć ją od nich potrafiono.

— Dajcież pokój tym płaczom, mówiła znajoma pani Dolskiej, Bogu oto lepiej dziękujcie, że umarł i przestał was męczyć.

— A wy dajcie pokój lepiej, odpowiedziała Anusia bezbożnym perswazyom; zróbcie tak, by on ożył, a oddam wam wszystko, co mam tylko i pielęgnować go będę pracą rąk moich z ochotą dalej, jak dotąd pielęgnowałam.

Małe jej zostały po śmierci męża fundusze. Gdy się z nią nieboszczyk żenił, miał piętnaście tysięcy gotówki, lat kilka choroby nadwerężyły je znacznie, bo Anusia nic nie szczędziła, by go ratować mogła. Gdy jej radzono, by niepotrzebnych wydatków na nieuleczoną chorobę nie robiła, odpowiadała zawsze:

— Jego to praca, niech wszystko wydam, a niech mi sumienie nie wyrzuca, że z majątku, który sobie zapracował, żałowałam mu na ratunek w chorobie, by po jego śmierci dostatków używać.

Zostało Anusi tylko trzy tysiące, z temi wyniosła się do małego miasteczka z matką, gdzie żyć skromnie postanowiła. Kupiła tam dom z małym ogródkiem i gruntami za tysiąc złotych i w ukryciu pędziła lata, nie chcąc więcej wchodzić w nowe związki. Niedługo smutne życie pani Dolskiej po śmierci matki, która zmarła, zmieniło się; gdy wzięła Stasia na wychowanie, jakoś weselej się dlań zrobiło na świecie i ochoczej brała się do pracy, wiedząc, że ma kogoś, na którego przyszłość zapracować powinna.

Gdy dorósł Staś lat ośmiu, pani Dolska poczęła go posyłać do księdza wikarego na naukę, który urządził w miasteczku małą szkółkę. Uczył się tam chłopak z wielką ochotą i był przykładem w szkółce dobrego i moralnego zachowania się.

I prawda, że Staś był wielce dobrym chłopakiem, posłusznym, nie latał jak drudzy poza miasto, by wyrabiać psoty, wykręcać gniazdka biednym ptaszynom po ogrodach, bić im jaja, lub okrutnie wylęgłe ptaszyny mordować. Przestrzegała również, aby cudzych rzeczy nie przywłaszczał sobie, jak to drudzy robić zwykli. Raz będąc z opiekunką swoją u sąsiadki, znalazł Staś mały guziczek mosiężny na ziemi i przyniósł go z sobą do domu; zapytany od pani Dolskiej, zkąd go wziął, musiał go odnieść właścicielce i przeprosić, że go poważył się przywłaszczyć sobie. I tak każdą rzecz przyniesioną z miasta do domu musiał Staś usprawiedliwić; jeżeli znalazł, gdzie i jak, jeżeli mu podarowano, to kto; kłamstwo też najsrożej w nim karała.

Tak Staś wychowany, nie zadawał się nigdy z zepsutemi chłopakami, i raz gdy poszedł

we święto za miasto sam na spacer, spotkał zgraję małych łotrów, zakradających się do cudzego ogrodu.

— Chodź z nami, mówili do niego, czy nie widzisz, jakie piękne gruszki i jabłka na drzewach?.. a w mieszkaniu niema nikogo, bo wyszli do miasta; widzieć nikt nie będzie, jak sobie wyładujemy kieszenie.

— Ale Pan Bóg widzi, odpowiedział Staś, bo On zawsze w domu i patrzy na nasze postępki; to powiedziawszy, czemprędzej zemknął, by go kto nie posądzał, że do kradzieży należał.

W trzy lata po nauce u księdza wikarego umiał Staś pięknie czytać, pisać, dokładnie rachunki, nieźle poniemiecku, i dostąpił zaszczytu, że nieraz zastępował w szkółce księdza wikarego, wykładał nauki swoim towarzyszom, którzy poczęli zwać go panem dyrektorem i kłaniać mu się na ulicy z uszanowaniem. Obowiązki te spełniał z wielką ochotą i korzyścią uczących się.

Do piętnastu lat życia pracował Staś w szkółce, od czasu do czasu odbierając wynagrodzenie, które zawsze odnosił swej opiekunce. Ale że coś dla niego obmyśleć trzeba było na przyszłość, więc za wspólną naradą pani Dolskiej z wikarym stanęło, że uczyć się będzie gospodarki wiejskiej przy umiejętnym ekonomie w przyległych dobrach; co X. wikary ułatwił, i po trzech latach takiej praktyki otrzymał Staś miejsce w tychże dobrach na jednym folwarku z pensyą stosowną i ordynaryą. Wielka była radość dla Stasia, że miał już dochody, któremi mógł rozrządzać, a większa jeszcze, gdy na jego usilne prośby pozwolono mu mieć opiekunkę przy sobie. Jak najprędzej urządził dla niej wygodne mieszkanie i sprowadził ją do siebie, oddając w jej ręce wszystko, co tylko posiadał, z prośbą, by jak swojem rządziła.

Nadszedł nareszcie czas, że Staś i o żonie pomyślał i wybrał sobie córkę ekonoma ze wsi sąsiedniej, niemajętną, ale poczciwą i pracowitą dziewczynę.

Klarka była hoża, miała tylko jednę wadę roztargnienia; częstokroć powiedziała to, co jej serce nie czuło.

Rad byłby Stanisław, aby jak najprędzej ślub jego się odbył, ale jeszcze fundusze na to nie pozwalały, a pani Dolska także mu dać nic nie mogła, albowiem z pozostałych po mężu pieniędzy zaledwie miała parę set złotych, które już chowała na pogrzeb dla siebie. Otóż raz na to uskarżał się Stanisław przed ekonomem Żelińskim z dóbr sąsiednich, który doń w odwiedziny przyjechał, na co ten mu rzekł:

— Jeżeli chcesz, możesz jutro ubić interes który pozwoli ci prędko się ożenić, a nawet odłożyć gotówkę.

— Jakiż to interes? zapytał zaciekawiony Stanisław.

— Oto właśnie z tem przyjechałem do ciebie; znajomy mi kupiec z Warszawy zakupił u twego pana cztery tysiące korcy pszenicy, zapłaciwszy mu dobrze; do wymiaru jej ty jesteś od dziedzica wyznaczony. Był u mnie ten kupiec, a wiedząc, że się znamy, prosił, iżbym wniósł do ciebie za nim instancyę, abyś mu oddając pszenicę, nie mierzył skrupulatnie i dał mu samemu w tem działać, patrząc jak to mówią przez szpary. Mała to rzecz przyjacielu, bo w takiej liczbie ziarna, jakie twój pan posiada, znać tego nie będzie i doliczyć się trudno, a za to przeznacza ci po złotemu od korca. Piękny interesik bracie, kilka takich, a zakpisz ze służby.

Stanisław do końca z cierpliwością wysłuchawszy, rzekł:

— To jest mój panie, radzisz mi, abym dla prędszego ożenienia z tą, którą kocham, został złodziejem.

— Ależ za gorąco bierzesz ten interes, i frant jeszcze jesteś widzę, rzekł na to Żeliński; panowie nie wynagradzają nas jak przynależy za uczciwą służbę.

— Więc dla wynagrodzenia tylko trzeba się robić poczciwym, mówił Stanisław... i krew z oburzenia gwałtownie bić mu zaczęła do głowy, a gdy za naszą uczciwość nie płacą nam, trzeba się samemu wynagradzać kradzieżą, pogardzić sumieniem, zaprzeć bezbożnie Boga? Słuchajno, takie propozycye rób podobnym sobie, ale nie rzetelnym ludziom, co pragną jeść chleb uczciwie zapracowany, zbierać dostatki bez krzywdy tych, co w nich zaufanie położyli.

Jak zmyty pan Żeliński wyniósł się i odtąd znajomością jego raz na zawsze wychowanek pani Dolskiej pogardził i zdaleka go omijał.

Rok jeszcze Staś czekał, potem nim się mógł ożenić, aż nareszcie weszła Klarcia w dom męża zaopatrzony we wszystko. Staś przed ślubem prosił Klary, by panią Dolskę kochała jak matkę.

Nic już nie brakło wychowankowi pani Dolskiej do szczęścia: miał kawał chleba, na który uczciwie umiał zapracować, dobrą żonę, zaufanie pana swego, czyste sumienie, najwyższe owe dobro, które mu po trudach całodziennych spać spokojnie dało, i cóż mu więcej potrzeba było?

Klarka dobrą była, czasem tylko powie działa, co nieczuła, jak to już wyżej namieniłam. Otóż raz widząc, jak z sąsiedniej wsi żona pana Żelińskiego z córkami i synem studentem paradowała do miasteczka na odpust ładną trójką koników i elegancką bryczką, rzekła do męża:

— Widzisz Stasiu, jak to sobie ludzie radzą: i dzieci po miastach edukują, i ubierają się ładnie, i ubawią, paradnie się najeżdżą, a my co użyjemy?.. Sześć lat już jesteś ekonomem na większej daleko wsi jak pan Żeliński, a co masz? ledwie jednego konika, parę krówek, ja dwie pary sukienek, a ty surdut wytarty.

— Moja Klarciu, odpowiedział jej mąż, mówisz to, czego nie czujesz. Boże uchowaj mnie całe życie dostatków państwa Żelińskich; wolę ja moję biedę, niżeli żebym nie mógł i śmiało w oczy spojrzeć memu panu i codziennie pomodlić się serdecznie do Boga z wylaniem serca, ofiarując Mu dzienne sprawy. Wolę, niech moje dzieci nic nie mają, niech się nie edukują po miastach, niech lepiej uczą się z czynów rodzicielskich, jak żyć uczciwie na świecie. Wstydby ci było Klarciu, gdyby sąsiedzi widząc na tobie piękne suknie, szemrali między sobą, że masz je za nieczyste pieniądze. I mogłażebyś takiego męża szanować, czyż nie lepiej ci dziś w skromnej sukience bez plamy złego nabytku?

Nie trafiły jakoś te słowa do przekonania Klarci, której jeszcze stała przed oczami wystrojona pani Żelińska i paradna bryczka, i krakowskie zaprzęgi na ładnych konikach. Nic na to Stanisław nie powiedział więcej, ale w dni kilka pojechawszy do miasta za interesem swego pryncypała, po powrocie położył przed żoną sto rubli i rzekł:

— Oto masz Klarciu na sukienki, a później znajdzie się na ładną bryczkę i koniki; nie gniewajże się na męża, że zrobić majątku nie umie.

— A zkądże to wziąłeś? zapytała Klara.

— A zkądżebym wziął? odpowiedział, oszukałem mego pana, czyli wyraźniej mówiąc, okradłem go, by ci dogodzić.

Klarka się zarumieniła, łzy nawet zabłysły w jej oczach i pieniądze odsunęła od siebie.

— No schowajże je, rzekł Stanisław. Klarcia wolę męża spełniła i pieniądze w kuferek włożyła. Położywszy się, noc całą nie spała; uważał to mąż, ale nic nie mówił, cały dzień smutną była i noc następną takoż ani oka nie zamknęła.

— Co ci to? zapytał nareszcie Stanisław, widząc ją, gdy zaledwie świtać poczęło, siedzącą na łóżku ubraną, z chustką przy oczach.

— O mój Stasiu, odrzekła płacząc, te pieniądze...

— Cóż? zapytał.

— One mi spać nie dają; póki ich nie było w domu swobodną byłam i szczęśliwą, a dziś...

— A takeś ich pragnęła Klarciu, rzekł mąż.

— Oj weź je, weź Stasiu i zrób co z niemi, bo ja ich widzieć nie chcę; one mi całą swobodę zniszczyły, i poczciwa kobieta szlochając, rzuciła się na szyję męża.

— A widzisz, rzekł Stanisław, jak to niedobrze mówić, czego się nie czuje, dać zwodzić pozorom i pragnąć tego, co tylko z ujmą naszej spokojności zdobyć możemy. Ale bądź spokojną—pieniędzy tych nie ukradłem, bo tego nie zrobiłbym, gdybyś nawet umrzeć miała że ci sprawić pięknej sukni nie mogę; dostałem je od kupca wołów, których karmieniem trudniłem się, i to za wiedzą mego pryncypała.

Klarka wolniej odetchnęła, łzy otarła, pieniążki głębiej w kuferek włożyła i cały już dzień śpiewała jak zwykle, krzątając się przy gospodarce, a noc całą spała jak najwyborniej, bo sumienie nie wyrzucało jej, że męża do złego czynu namówiła.

Długo Stanisław czekał, nim jego uczciwość przez pryncypała poznaną została; bo rzetelnie poczciwy człowiek nie stara się, aby cnotę swą głośną uczynić, spełnia sumiennie w cichości co do niego należy i nagrody żadnej nie żąda, bo i prawa do niej nie ma—kto bowiem chce być płatnym za dobre postępki,

frymarczy cnotą, i kto takiego zowie poczciwym, wykracza.

W kilkanaście lat dopiero ekonomskiej służby Staś wezwany został raz do dziedzica i odebrał od niego nominacyą na rządcę czterech folwarków ze stosownem wynagrodzeniem. Z radością wrócił do domu, przywożąc Klarci dobrą nowinę i poczciwej pani Dolskiej, która od roku złożona ciężką niemocą, pielęgnowana jak najtroskliwiej od Stanisława i Klary, wyglądała śmierci. Przyjechawszy jej wychowanek z nominacyą, uklęknął u łoża umierającej, oznajmił jej pocieszną nowinę i rzekł, całując jej wynędzniałe ręce:

— Dziękuję ci matko moja, żeś mnie po ludzku wychowała i zrobiła użytecznym na świecie.

Ucieszyła się staruszka polepszeniem losu wychowanka swojego; Bóg dobry zachował ją do tej chwili, w której mogła w godzinę śmierci uradować się ziemskiem szczęściem Stasia, bo w kilka godzin potem usnęła snem wiecznym.

Stanisław płacząc strasznie, rzucił się na martwe zwłoki swojej dobrodziejki, od których odłączyć go nie można było. Na drugi dzień sam własną ręką wykopał jej grób na cmentarzu, a nogi jej ucałowawszy, włożył sam w trumnę i na własnych barkach z pomocą sług swoich zaniósł do grobu. Niebawem po śmierci opiekunki swojej objął nowe obowiązki i przeniósł się na mieszkanie do innej wsi. Jadąc tam z żoną, spotkał w drodze państwa Żelińskich, których właśnie dziedzic przekonawszy się o nadużyciach i kradzieżach, nietylko z ujmą jego czynionych, ale i officyalistów, wypędził z majątku, zabrawszy część rzeczy na satysfakcyą pokrzywdzonych. Otóż na dwóch furach złożony był ich cały majątek: pani Żelińska i córki jej siedziały na jednej nakryte chustkami, lękając się, aby im kto w oczy nie zajrzał, lub aby same zmuszone nie były patrzeć na ludzi; ojciec zaś z synem, ze spuszczonemi głowami szli piechotą przy furze naładowanej resztkami. Oto koniec nieomylny tych, co się chcą cudzem dobrem bogacić; nadejść musi dla nich godzina koniecznie, w której trudno im będzie spojrzeć sprawiedliwemu w oczy, a co najgorzej, wstydzić się przyjdzie własnych dzieci.

Gdy bryczka ładna rączemi zaprzęgnięta konikami nowego rządcy, mijała fury wypędzonego ekonoma, zapytał Stanisław żony:

— A co Klaruniu, zazdrościszże losu teraźniejszego Żelińskich?

— Przebacz mi i zapomnij Stasiu, moje bezrozumne wykroczenie, zawołała Klarka ze łzami.

Trudna rzecz pozostaje do dopełnienia w tej powiastce... oto trzeba wam powiedzieć coś o Szymku. Nie będę tu opisywała bezdroży, jakie on przechodził, bo nie chcę tych obrazów czystych plamić kreśleniem niegodziwości, o których znając jego błędy dzieciństwa, wnioskować możecie; krótko więc powiem, że stał się on potem łotrem, rozbijał podróżnych i domy w okolicach napadał, aż ujęty skończył śmiercią zbrodniarza. Szczęściem wtedy było dla Stanisława, że dobra jego opiekunka znając, w jakiej u ludzi pogardzie nazwisko Golika zostaje, przysposobiwszy go za syna, dodała mu własne. Przeczytawszy Stanisław, w pismach o ujęciu Szymka, oniemiał prawie ze zgryzoty i boleści, błogosławiąc pamięć swej opiekunki, która go dobrém wychowaniem od hańby ustrzegła, bo czuł, że i on byłby drugim Szymkiem, gdyby go była matka własna wychowywała, o której nie raz słyszał mówiących z pogardą.

Biada pamięci rodziców, których dzieci muszą chwilę te błogosławić, co ich zpod opieki rodzicielskiej wyzwoliła i zapierać się ich nazwiska dla uniknięcia wstydu. Biedny Szymek stał się ofiarą złego wychowania tej, którą czcić, szanować i kochać powinien. Ona go nauczyła zaprzeć się Boga w postępkach, godnaż ona świętej nazwy matki?—nie, *bo matki nie stają się matkami*, jak mówi Sty Chryzostom, *rodząc dzieci, ale je wychowując.*

Górnictwo.

VI.

Przygotowanie rud metalicznych do wytapiania z nich kruszców.

—

Rudy surowe czyli zupełnie jeszcze nie przerobione, rzadko bardzo mają taki skład, ażeby można bezpośrednio wytapiać z nich metale. Zazwyczaj są one albo zanadto ubogie, albo też zawierają w sobie takie minerały,

któreby przy hutniczych czynnościach mogły wywierać szkodliwy wpływ na dobroć otrzymać się mającego kruszcu. Rozmaite sposoby służące albo do podwyższenia *wartości* pożytecznej w rudzie, albo też dla oddzielenia z rud szkodliwych części składowych, nazywają się ogólnie *obróbką rud.* Takowa obróbka, jeśli się odnosi do rud stałych, twardych, nazywa się zwyczajnie *wzbogaceniem rud,* a czynności przygotowawcze, uważane odnośnie do rud sypkich, mączastych lub piaskowych, nazywają się *płukaniem,* które również ma na celu wzbogacenie, bo oddziela części ziemiste, piaskowe i gliniaste, a pozostawia najcięższe czyli kruszcowe.

Sposoby wzbogacenia rud bywają bardzo rozmaite; zależą bowiem od składu i niektórych fizycznych ich własności, czyli w ogóle od ukształcenia naturalnego rud. Przez *ukształcenie* minerałów a zatem i rud, rozumiemy skład, budowę, albo ułożenie cząstek i wreszcie postać, czyli formę, w jakiej się kopaliny znajdują.

Rudy względnie do czynności wzbogacających je, rozdzielają się zwykle w następujący sposób:

1. Według wielkości kawałków i cząstek na *pecynowate*, czyli rudę właściwą i na *miałkie,* t. j. tak zwany *podrudek.*

2. Według rozdziału cząstek metalicznych w massie skalnej albo górniczej na *jednolite* czyli massowe i na *wkropione* czyli tu i owdzie w opoce albo w innej skale porozrzucane.

3. Według składu są rudy: *samorodne* czyli czyste, *pirytowe* albo siarczyste i *ochrowate,* t. j. wodne i kwasorodne.

4. Według budowy: *zbite* albo *kamieniste, łupkowate, ziarniste, szkliste, prętowate, muszlowate* i t. p.

5. Według ilości zawartego w nich metalu dzielą się na *bogate*, *średnie* i *ubogie.*

Tak zwana *zawartość* rud jestto warunkowa i umówiona miara ich bogactwa. Zawartość rud żelaznych, miedzianych, cynkowych, ołowianych i t. p. mierzy się procentami, t. j. ilością metalu na 100 części wagi rudy. Kiedy się mówi: ruda 5, 10, 20 procentowa, to się rozumie, że w 100 częściach, np. w 100 funtach rudy jest metalu do wytopienia 5, 10, lub 20 funtów. Zawartość srebrnych, złotych i platynowych rud oznacza się liczbą łutów szlachetnego kruszcu w centnarze rudy, albo też, jak w Rossyi, liczbą zołotników w pudzie piasku kruszconośnego. Nadmienić wypada, że nasz łut wynosi 3 zołotniki, a pud mniej więcej naszych 40 funtów.

Wzbogacenie rud zawsze ma na celu oddzielenie części jałowej skały od minerału kruszconośnego. Lecz części składowe rud bywają prawie zawsze tak ściśle związane z obcemi częściami, że za pomocą środków mechanicznych niepodobieństwem jest oddzielić zupełnie jedne od drugich, i jałowa skała, oddzielona od rudy, zabiera za sobą zawsze pewną część minerału metalicznego. Dlatego też wszystkie wzbogacające czynności i przygotowawcze operacye zawsze są połączone ze stratą, choćby maleńką metalu. Lecz strata ta jest warunkową, pozorną i wynagradza się zupełnie przez zmniejszenie wydatków przy wytapianiu metali i następnem ich oczyszczeniu.

Rozmaite czynności, stanowiące wzbogacenie rud, są następujące:

1. *Wybierka,* czyli oddzielenie właściwej rudy od pokładów i kopalin jałowych.

2. *Rozdrobnienie,* mogące być albo *grubsze* zwane *rozbiciem* i *potłuczeniem,* albo drobniejsze zwane *ześrutowaniem.*

3. *Srotowanie* zależące na rozdzieleniu rud według własności mineralogicznych i naukowych górniczych, połączone zwykle z ręcznem rozbijaniem.

4. *Płukanie,* mające za cel oczyszczenie twardych kawałków rudy od ziemistych i ochrowatych części, od piasku, gliny i t. p.

5. *Przemywanie* i *szlamowanie* lub też osadzanie i strącanie na sitach i przetakach, oraz na rzeszotach górniczych.

6. *Rosztowanie* czyli *prażenie,* mające na celu uwolnienie rudy od zbytniej wilgoci, tudzież od wody chemicznie z nią połączonej.

W krótkości opiszę wam wszystkie te czynności, oraz przyrządy i warsztaty, na jakich się one odbywają.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.—Warszawa d. 13 (25) lipca 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*